

ROBERT HARRIS



SPISEK

TRYLOGIA RZYMSKA II



I



Dwa dni przed tym, jak Marek Tulliusz Cyncero objął w Rzymie konsulat, wyłowiono z Tybru ciało młodego chłopca; było to w pobliżu doków republikańskiej floty wojennej.

Takie odkrycie, choć wstrząsające, w normalnych okolicznościach nie wymagałoby uwagi konsula elekta. Ale w tym znalezisku było coś tak groteskowego i stanowiącego groźbę dla ładu publicznego, że urzędnik odpowiedzialny za utrzymanie porządku w mieście, Gajusz Oktawiusz, wysłał wiadomość do Cyncerona, prosząc go o natychmiastowe przybycie.

Ze względu na nawał pracy Cyncero początkowo odniósł się do tej prośby niechętnie. To on jako kandydat na stanowisko konsula, który zdobył najwięcej głosów w wyborach, miał przewodniczyć pierwszej sesji senatu, a nie kolega, i właśnie pisał mowę inauguracyjną. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie jest to jedyny powód takiej postawy. Wszystko bowiem, co wiązało się ze śmiercią, budziło w nim niezwykle lęk. Niepokoiło go nawet zabijanie zwierząt podczas łowów i ta słabość – bo, niestety, wrażliwe serce zawsze uchodzi w polityce za przejaw słabości – zaczęła być już widoczna. W pierwszej więc chwili

pomyślał, że w swoim zastępstwie wyśle mnie.

– Oczywiście, że pójdę – odparłem posłusznie. – Ale...

– Ale? – zapytał ostro. – Ale co? Uważasz, że to będzie źle widziane?

Ugryzłem się w język i wróciłem do notowania jego mowy. Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

– Och, niech będzie – mruknął w końcu. Wstał. – Oktawiusz jest męczący, ale dość zrównoważony. Nie wzywałby mnie, gdyby to nie było coś ważnego. Zresztą dobrze mi zrobi, jeśli odetchnę świeżym powietrzem.

Zbliżał się koniec grudnia i pod ciemnoszarym sklepieniem chmur wiał wiatr na tyle silny, że trudno było złapać oddech. Na ulicy tłoczyło się kilkunastu petentów, którzy liczyli, że zostaną przyjęci, i gdy tylko zobaczyli w drzwiach frontowych konsula elekta, natychmiast do niego podbiegli.

– Nie teraz – rzucił Cycero, przepychając się między nimi. – Nie dzisiaj.

Zarzucił brzeg płaszcza na ramię, opuścił brodę, przyciskając ją do piersi, i szybkim krokiem ruszył po stoku wzgórza na dół.

Musieliśmy ująć z miłą; przecięliśmy forum i wyszliśmy z miasta bramą przy rzece. Wody Tybru wezbrały i płynęły wartko, tworząc żółtobrązowe wiry i prądy. Dalej, naprzeciwko Isola Tiberina, wśród żurawi na nabrzeżu Navalii, zobaczyliśmy tłum ludzi. (Jeśli przy okazji powiem, że wyspa nie była jeszcze połączona mostami z brzegami, zdacie sobie sprawę, jak dawno temu to się działo – ponad pół wieku). Gdy się zbliżyliśmy, kilku gapiów rozpoznało Cyclerona; rozstąpili się, żeby nas przepuścić, i w tłumie zapanowało poruszenie. Miejsce wypadku otaczał kordon legionistów z koszarów floty morskiej. Oktawiusz już na nas czekał.

– Przyjmij przeprosiny, że ci przeszkodziłem – zaczął i uściśnął dłoń mojemu panu. – Wiem, jak bardzo musisz być

zajęty, zwłaszcza przed inauguracją.

– Drogi Oktawiuszu, zawsze miło mi cię widzieć. Znasz mojego sekretarza, Tirona?

Oktawiusz spojrział na mnie bez zainteresowania. Choć dziś jest pamiętany głównie jako ojciec Augusta, wówczas był edylem plebejskim i człowiekiem z przyszłością. Pewnie zostałby konsulem, gdyby nie umarł przedwcześnie z powodu gorączki, ze cztery lata po tym zdarzeniu. Zabrał nas z dworu do jednego z wielkich budynków portowych, gdzie na potężnych drewnianych walcach spoczywał szkielet liburny*, którą rozebrano do naprawy. Obok na ziemi leżał jakiś podłużny kształt owinięty w płótno żaglowe. Oktawiusz bez wstępów i ceremonii odrzucił materiał i ukazało się przed nami nagie ciało chłopca.

Jeśli dobrze pamiętam, wyglądał na jakieś dwanaście lat. Miał piękną pogodną twarz, wręcz kobiecą ze względu na delikatność, ze śladami złotej farby na nosie i policzkach oraz czerwoną wstążką w mokrych ciemnych włosach. Podcięto mu gardło, a ciało rozpruto aż po pachwinę i wyjęto wnętrzności. Nie widać było tam krwi, tylko podłużną jamę jak u wypatroszonej ryby, wypełnioną rzeczonym mułem. Nie wiem, jak Cycero zdołał wytrzymać ten widok i zachować opanowanie; jednakże przełykał ślinę i nie odwracał wzroku. W końcu rzekł ochryple:

– Straszne.

– To jeszcze nie wszystko – zapowiedział Oktawiusz.

Przykucnął na piętach, ujął w dłonie czaszkę chłopca i obrócił ją w lewą stronę. Przy tym ruchu rana na szyi otworzyła się i zamknęła nieprzyzwoicie, niczym drugie usta, które próbowały nas szeptać przed czymś ostrzec. Wydawało się, że

* Pojęcia, które mogą być niejasne, są wyjaśnione w słowniczku.

na Oktawiuszu nie robi to żadnego wrażenia; przecież był wojskowym, niewątpliwie nawykłym do takich widoków. Odgarnął włosy chłopca i odsłonił wgłębienie tuż za jego prawym uchem, a następnie przesunął po nim palcem.

– Widzisz? Wygląda na to, że został uderzony czymś od tyłu. Pewnie młotkiem.

– Pomalowano mu twarz. I związano wstążką włosy. Potem uderzono go od tyłu młotkiem – powtórzył Cyncero; mówił coraz wolniej, w miarę jak uświadamiał sobie, dokąd prowadził ten tok rozumowania. – Następnie przecięto mu gardło. I w końcu... go wypatroszono.

– Właśnie – potwierdził Oktawiusz. – Oprawcy chcieli odebrać jego wnętrzności. Zabito go na ofiarę... jak zwierzę.

Włosy zjeżyły mi się na karku, gdy usłyszałem te słowa w owym zimnym, ciemnym pomieszczeniu, i zrozumiałem, że stoję w obliczu zła, zła tak namacalnego, tak potężnego jak piorun.

– Słyszałeś o jakichś kultach w mieście, które nakazują tak ohydne praktyki? – zapytał Cyncero.

– Nie. Przychodzą mi na myśl tylko Galowie... którzy podobno robią takie rzeczy. Ale obecnie nie ma ich tu tak wielu, a ci, którzy zostali, zachowują się przyzwoicie.

– A kim jest ofiara? Czy ktoś zgłosił się po tego chłopca?

– To kolejny powód, dla którego chciałem, żebyś przybył i sam zobaczył. – Oktawiusz przewrócił ciało na brzuch. – Ma tu na plecach mały tatuaż wskazujący właściciela. Ci, którzy wrzucili ciało do wody, musieli to przeoczyć. *G.Ant.M.f.G.n.*, czyli Gajusz Antoniusz, syn Marka, wnuk Gajusza. To znany ród! Chłopiec był niewolnikiem twojego kolegi konsula, Antoniusza Hybrydy. – Wstał i wytarł ręce w płótno żeglarskie, a potem niedbale przykrył nim zwłoki. – Co zamierzasz uczynić?

Cyncero jak urzeczony patrzył na żalospną postać leżącą na

ziemi.

– Kto wie o tej sprawie?

– Nikt.

– A Hybryda?

– Też nie.

– A skąd wziął się ten tłum na zewnątrz?

– Rozeszła się pogłoska, że odkryto jakiś rytualny mord. Ty wiesz najlepiej, jaki jest motłoch. Ludzie już gadają, że coś takiego w przeddzień objęcia przez ciebie konsulatu to zły znak.

– Być może mają rację.

– To ciężka zima. Mogliby się już uspokoić. Chyba powinniśmy zawiadomić o tym zdarzeniu Kolegium Kapłańskie i poprosić, żeby odprawili jakiś obrzęd oczyszczający...

– Nie, nie – szybko zaoponował Cyncero, gdy oderwał wreszcie wzrok od ciała zamordowanego. – Żadnych kapłanów. Oni tylko pogorszą sytuację.

– Co więc zrobimy?

– Nic nikomu nie mów. Jak najszybciej spal ciało. Niech nikt go nie ogląda. Zabroń tym, którzy je widzieli, mówić cokolwiek na ten temat pod groźbą uwięzienia.

– A co powiemy plebsowi?

– Ty zajmij się ciałem, ja zajmę się plebsem.

Oktawiusz wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz – powiedział. Zabrzmiło to obojętnie. Do końca urzędowania pozostał mu jeszcze tylko jeden dzień; wiedziałem, że chętnie pozbędzie się problemu.

Cyncero podszedł do drzwi i kilka razy odetchnął głęboko, żeby jego policzki odzyskały kolor. Potem zobaczyłem – jak już nie raz – że prostuje ramiona i przybiera wyraz twarzy znamionujący pewność siebie. Wyszedł na zewnątrz i wspiął się na stertę drewna, żeby przemówić do tłumu.

– Ludu rzymski, upewniłem się, że ponure pogłoski, które

obiegły miasto, są nieprawdziwe! – Musiał krzyczeć na wietrze, żeby jego słowa były słyszane. – Wracajcie do domów, do rodzin, i świętujcie dalej!

– Ale ja widziałem zwłoki! – wykrzyknął jakiś mężczyzna. – Złożono ofiarę z człowieka, żeby ściągnąć klątwę na republikę!

Reszta zebranych podjęła okrzyk.

– To miasto jest przeklęte! Twój konsulat jest przeklęty! Wezwijcie kapłanów!

Cycero uniósł ręce.

– Owszem, ciało było w strasznym stanie. Ale czego się spodziewaliście? Nieszczęsny chłopak leżał w wodzie przez długi czas. Ryby są głodne. Żywią się czym popadnie. Naprawdę chcecie, żebym wezwał kapłana? Po co? By przeklął rybę? A może ją pobłogosławił? – Kilku ludzi zaczęło się śmiać. – Od kiedy to Rzymianie boją się ryb? Idźcie do domów. Bawcie się dobrze. Pojutrze rozpocznie się nowy rok, z nowym konsulem... który będzie o was dbał!

Nie była to wspaniała oracja, ale spełniła swoją funkcję. Rozległy się nawet wiwaty. Cycero zeskoczył na ziemię. Legioniści utorowali nam drogę w tłumie i szybko wycofaliśmy się w stronę miasta. Gdy zbliżyliśmy się już do bramy, obejrzałem się przez ramię. Zebrani zaczęli się rozchodzić w poszukiwaniu nowych atrakcji. Odwróciłem się do Cyclerona, żeby pogratulować mu przemówienia, które okazało się skuteczne, ale on stał pochylony nad rowem przy drodze i wymiotował.



Tak wyglądała sytuacja w mieście w przededniu objęcia przez Cyclerona konsulatu – panowały głód i niepewność, ludzie żyli plotkami; kalecy weterani wojenni i chłopci, którzy stracili pieniądze, żebrali na rogach ulic; rozbawione bandy pijanych młodych ludzi terroryzowały sklepikarzy; kobiety z dobrych

rodzin jawnie uprawiały prostytutkę pod tawernami; wybuchały pożary, przychodziły gwałtowne burze i bezkسیężcowe noce; psy grzebały po śmietnikach; pełno było fanatyków, wróźbitów, żebraków, awanturników. Pompejusz wciąż przebywał na wschodzie, gdzie dowodził legionami, a pod jego nieobecność nad Rzymem niczym mgła znad rzeki wisiał lęk, tak że każdego aż przechodziły ciarki. Wszyscy przeczuwali, że stanie się coś złego, ale nie bardzo wiedzieli co. Mówiono, że nowi trybunowie wspólnie z Cezarem i Krassusem przygotowują w tajemnicy wielki plan mający na celu przekazanie ziemi publicznej miejskiej biedocie. Cycero usiłował się dowiedzieć na ten temat czegoś więcej, ale odprawiono go z kwitkiem. Wiadomo było jedynie, że jeśli taki plan powstanie, patrycjusze na pewno będą mu przeciwni. Brakowało wszelkich dóbr, sklepy były puste, ludzie gromadzili żywność. Nawet lichwiarze przestali udzielać pożyczek.

Co do kolegi konsularnego Cyclerona, Antoniusza Hybrydy – Antoniusza Półkrwi; Pół Człowieka, Pół Bestii – był on jednocześnie nieokrzesany i głupi, co nie dziwiło u kandydata, który ubiegał się o urząd przy wsparciu zaprzysięgłego wroga Cyclerona, Katyliny. Niemniej Cycero, zdając sobie z sprawę z niebezpieczeństw, jakim będzie musiał stawić czoło, i czując, że przydadzą mu się sojusznicy, czynił wiele starań, żeby się z nim porozumieć. Niestety, te jego próby nic nie dały, i powiem dlaczego. Wybrani na dany rok konsulowie zwyczajowo losowali w październiku prowincję, którą mieli objąć w zarząd po złożeniu urzędu. Hybryda, który tonął w długach, upatrzył sobie buntowniczą, ale bogatą Macedonię, gdzie można było zbić majątek. Ku swemu wielkiemu rozczarowaniu wylosował jednak spokojną, pasterską Galię Przedalpejską, w której wszyscy siedzieli jak mysz pod miotłą. Macedonia natomiast przypadła Cycleronowi i kiedy ogłoszono to w senacie, na twarzy Hybrydy

pojawiło się takie zaskoczenie, a potem dziecinna uraza, że cała izba zatrzęsała się od śmiechu. Od tego czasu Hybryda nie rozmawiał z moim panem.

Nic więc dziwnego, że Cyceronowi trudno szło pisanie mowy inauguracyjnej; kiedy wróciliśmy znad rzeki do domu i znowu zaczął mi ją dyktować, wręcz łamał mu się głos. Patrząc w dal z nieobecny wyrazem twarzy i wciąż głośno się zastanawiał, dlaczego chłopiec zginął w taki sposób i jakie to ma znaczenie, że należał do Hybrydy. Zgadzał się z Oktawiuszem: prawdopodobnie sprawcami zbrodni byli Galowie. Jeden z ich kultów wymagał składania ofiar z ludzi. Cycero przesłał więc wiadomość swojemu przyjacielowi, Kwintusowi Fabiuszowi Sandze, który był głównym protektorem Galów w senacie, i zapytał go dyskretnie, czy jego zdaniem są zdolni do takiego bestialstwa. Sanga w ciągu godziny odpowiedział jednak wyniośle, że na pewno nie i że Galowie byliby bardzo urażeni, gdyby konsul elekt trwał przy tak krzywdzącym podejrzeniu. Cycero westchnął więc, rzucił list i próbował podjąć urwany wątek przemówienia. Nie mógł jednak przekształcić go w żadną spójną myśl i krótko przed zachodem słońca poprosił o płaszcz i buty.

Przypuszczałem, że zamierza udać się do ogrodów publicznych położonych niedaleko domu, do których często chadzał, kiedy układał mowę. Ale gdy dotarł na szczyt wzgórza, zamiast skrócić w prawo, poszedł dalej ku Bramie Eskwilińskiej i ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że zmierza poza świętą granicę, do miejsca, gdzie palono zwłoki – którego zwykle za wszelką cenę unikał. Minęliśmy wózkarzy, którzy za bramą czekali na klientów, oraz przysadzistą oficjalną siedzibę carnifexa, który jako kat nie mógł mieszkać w granicach miasta. W końcu wkroczyliśmy do świętego gaju Libitiny, bogini śmierci i ceremonii pogrzebowych, pełnego kraczących wron, i

zbliżyliśmy się do świątyni. W tamtych czasach stanowiła siedzibę cechu grabarzy i można tam było kupić wszystko, czego potrzeba na pogrzeb, od olejów, którymi namaszcza się zwłoki, po łoże, na którym się je pali. Cycero poprosił mnie o pieniądze i poszedł porozmawiać z kapłanem. Wręczył mu monety i pojawiło się kilku oficjalnych żałobników. Potem przywołał mnie.

– Jesteśmy w samą porę – powiedział.

Co za dziwną grupę musieliśmy tworzyć, gdy tak szliśmy gęsiego przez Pole Eskwilińskie, na przedzie żałobnicy niosący dzbany z kadzidłami, za nimi konsul elekt i wreszcie ja. Wokół nas strzelały w mroku płomienie stosów pogrzebowych, niósł się płacz osieroconych i zapach kadzidła – silny, ale nie na tyle, by zamaskować smród palonych ciał. Żałobnicy zawiedli nas do publicznej ustriny, gdzie na wózku czekała sterta zwłok, które miały być rzucone do ognia. Nagie i bez butów, te bezimiennie ciała były po śmierci tak ubogie jak za życia. Nakryto tylko szczątki chłopca; rozpoznałem je po płótnie żeglarskim, które starannie zaszyto. Gdy dwóch pracowników rzuciło je na metalową kratę, Cycero skłonił głowę, a wynajęci żałobnicy podnieśli szczególnie głośny lament, bo bez wątpienia liczyli na suty napiwek. Płomienie wznosiły się i przygasały na wietrze i wkrótce było po wszystkim: chłopiec odszedł tam, dokąd odejdzie każdy z nas.

Była to scena, której nigdy nie zapomniałem.

Z pewnością największą łaską opatrności jest to, że nie możemy poznać przyszłości. Wyobraźcie sobie, co by to było, gdybyśmy znali wynik naszych nadziei i planów albo mogli przewidzieć, jaka spotka nas śmierć – nasze życie zostałoby zrujnowane! Zamiast tego żyjemy z dnia na dzień w błogiej nieświadomości, zadowoleni jak zwierzęta. Ale wszystko kiedyś musi obrócić się w pył. Temu prawu nie ujdzie ani człowiek,

ani żaden system, żadna epoka; wszystko szczególnie pod gwiazdami, nie ostanie się najtwardsza skała. Przetrwają tylko słowa.

Mając to na uwadze, z nową nadzieją, że pożyję na tyle długo, by wywiązać się z tego zadania, przedstawię teraz opowieść o niezwykłym roku z życia Cyncerona, gdy sprawował on urząd konsula republiki rzymskiej, a także o następnych czterech latach – czyli okresie, który my, śmiertelnicy, nazywamy *lustrum*, a który dla bogów jest jak mgnienie oka.

II



Nazajutrz, w przeddzień inauguracji, spadł śnieg – gęsty śnieg, taki, jaki zwykle widuje się w górach. Pokrył świątynie na Kapitolu miękkim białym marmurem i zasłał całe miasto całunem grubości ludzkiej dłoni. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego i mimo sędziwego wieku nie słyszałem, żeby to się kiedykolwiek powtórzyło. Śnieg w Rzymie? To musiał być jakiś znak. Tylko jaki?

Cycero siedział w swoim gabinecie, obok małego paleniska, w którym płonęły węgle, i pracował dalej nad przemówieniem. Nie wierzył w znaki. Kiedy wpadłem do środka i opowiedziałem mu o śniegu, wzruszył jedynie ramionami, jakby mówił: „I co z tego?”, a gdy zacząłem niepewnie przywoływać argumenty stoików, nieodżegnujących się od wiary w znaki – bo jeśli istnieją bogowie, muszą troszczyć się o ludzi, a jeżeli się o nich troszczą, to oznajmiają im swoją wolę za pomocą znaków – przerwał mi ze śmiechem:

– Bogowie, obdarzeni przecież nadprzyrodzonymi mocami, na pewno mają lepsze sposoby porozumiewania się z nami niż poprzez płatki śniegu. Dlaczego nie wyślą nam listu? – Odwrócił się do swojego biurka, pokręcił głową i zaśmiał się, rozbawiony

moją naiwnością. – No, doprawdy! Wracaj do swoich obowiązków, Tironie, i postaraj się, żeby nikt mi nie przeszkadzał.

Skarcony wyszedłem, sprawdziłem stan przygotowań do procesji inauguracyjnej, po czym zająłem się korespondencją Cycerona. Pełniłem funkcję sekretarza mego pana już od szesnastu lat i nie było takiej sfery w jego życiu, czy to publicznym, czy prywatnym, której bym nie znał. Miałem wówczas zwyczaj pracować przy składanym stoliku tuż za drzwiami jego gabinetu, żeby nie wpuszczać niepożądanych gości i w razie czego być na wezwanie. W owym miejscu słyszałem tego rana wszystkie dźwięki dochodzące z domu: kroki Terencji, która wchodziła do jadalni i z niej wychodziła, jej burkliwe połajania służących, że zimowe kwiaty są niegodne nowego statusu jej męża, a także pouczenia kierowane do kucharza w związku z wieczorną ucztą; mały Marek, już dwuletni, dreptał za nią niepewnie i na widok śniegu wydawał okrzyki zachwytu; a kochana Tulia, trzynastoletnia dziewczynka, która jesienią miała być wydana za mąż, ćwiczyła grecki heksametr pod opieką nauczyciela.

Tyle miałem pracy, że dopiero po południu mogłem znowu wyjrzeć na dwór. Mimo jeszcze wczesnej pory na ulicy nie było prawie nikogo. Miasto wydawało się przytłumione, złowroźnie ciche; panował taki spokój jak o północy. Niebo było blade, śnieg wprawdzie przestał padać, ale mróz wszystko pokrył szronem. Przypominam sobie nawet – bo to taka dziwna przypadłość pamięci w starym wieku – jakie to było uczucie, gdy lód pękał pod naciskiem stopy. Po raz ostatni zaczerpnąłem mroźnego powietrza i już miałem wrócić do ciepłego wnętrza, gdy usłyszałem w tej ciszy trzask bata oraz krzyki i jęki ludzi. Chwilę później zza rogu wyłoniła się lektyka niesiona przez czterech niewolników w liberiach. Nadzorca, który truchtał

obok nich, machnął batem w moją stronę.

– Hej, ty! – zawołał. – Czy to dom Cyclerona?!

Kiedy odparłem, że tak, krzyknął przez ramię: „To tutaj!” – i smagnął najbliższego niewolnika z taką siłą, że nieszczęśnik prawie upadł. Nadzorca musiał wysoko podnosić w śniegu kolana i idąc w ten sposób, dobiegł do mnie. Za nim pojawiła się druga lektyka, potem trzecia i czwarta. Niosący je niewolnicy zatrzymali się przed domem i gdy tylko postavili lektyki na ziemi, wszyscy osunęli się w śnieg, padając na drągi jak wyczerpani wioślarze na wiosła. Nie patrzyłem jednak na to.

– To jest dom Cyclerona, ale mój pan nie przyjmuje gości – zaprotestowałem.

– Nas przyjmie! – Z wnętrza pierwszej lektyki dobiegł znany mi głos i koścista ręka odsunęła zasłonę, zza której ukazało się oblicze Kwintusa Lutacjusza Katulusa, przywódcy patrycjuszowskiego stronnictwa w senacie. Był otulony w skóry zwierzęce aż po wystającą brodę, przez co wyglądał jak duża niebezpieczna łasica.

– Senatorze. – Powitałem go z ukłonem. – Powiem mu, że przybyłeś, panie.

– I nie tylko ja – zwrócił mi uwagę Katulus.

Spojrzałem w głąb ulicy. Z następnej lektyki wysiadł sztywno – narzekając na swoje stare kości – zdobywca Olimpu i głowa senatu, Watia Izaurykus, a obok stał największy rywal Cyclerona w palestrze, ulubiony adwokat patrycjuszy, Kwintus Hortensjusz. On z kolei wyciągał rękę do czwartego senatora, którego pomarszczonej, brązowej jak orzech twarzy o bezzębnych ustach nie mogłem rozpoznać. Wydawał się bardzo zniedołężniały. Domyślałem się, że dawno temu przestał chodzić na obrady senatu.

– Znakomici panowie – zwróciłem się do nich uniżonym tonem – proszę za mną. Zaraz powiadomię o waszym przybyciu

konsula elekta.

Szeptem nakazałem odźwiernemu wprowadzić ich do tablinum i popędziłem do gabinetu Cyceronu. Gdy zbliżałem się do drzwi, usłyszałem jego głos, mówiący z oratorską swadą: „Powiadam więc narodowi rzymskiemu: dość tego!”, a kiedy wszedłem do środka, zobaczyłem, że stoi zwrócony do mnie plecami i przemawia do dwóch młodszych sekretarzy, Sositeusza i Laurei, z wyciągniętą ręką, której kciuk i środkowy palec stykały się, tworząc kółko.

– A tobie, Tironie, mówię – ciągnął, nie odwracając się – nie przeszkadzaj mi znowu! Jakiż to tym razem znak zesłali nam bogowie? Deszcz żab?

Sekretarze zachichotali. Będąc tak blisko celu, który stanowił zwieńczenie jego ambicji życiowych, wymazał z pamięci przykre zdarzenia z poprzedniego dnia i był w świetnym humorze.

– Przybyła delegacja z senatu, która chce się z tobą zobaczyć, panie.

– O, to nazywam znakiem. Kto do niej należy?

– Katulus, Izaurykus, Hortensjusz i jeszcze jeden, którego nie rozpoznałem.

– Sama patrycjuszowska śmietanka? Tutaj? – Rzucił mi przez ramię ostre spojrzenie. – I w taką pogodę? To chyba najskromniejszy dom, w jakim kiedykolwiek postawili stopę! Czego chcą?

– Nie wiem.

– Notuj wszystko starannie. – Zebrał fałdy togi i wysunął brodę do przodu. – Jak wyglądam?

– Jak konsul – zapewniłem go.

Przeszedł nad porzuconym szkicem przemówienia i skierował się do tablinum. Odźwierny przyniósł krzesła dla gości, ale tylko jeden z nich usiadł – trzęsący się stary senator, którego nie znałem. Pozostali stali razem, każdy z własnym służącym przy

boku; byli wyraźnie skrępowani faktem, że znaleźli się w domostwie nisko urodzonego, „nowego człowieka”, którego tak niechętnie wybrali na konsula. Hortensjusz nawet przykładął chusteczkę do nosa, jakby mógł się czymś od Cyclerona zarazić.

– Witaj, Katulusie – zaczął przyjaźnie Cycero, gdy wszedł do pokoju. – Izaurykusie. Hortensjuszu. To dla mnie zaszczyt.

Skinął głową wszystkim trzem byłym konsulom, ale kiedy miał pozdrowić czwartego senatora, zobaczyłem, że nawet jego zawodzi pamięć, z której przecież sływał.

– Rabiriusz... – Przypomniawszy sobie w końcu. – Gajusz Rabiriusz, prawda?

Wyciągnął do niego dłoń, ale starzec nie zareagował, więc Cycero wybrnął z tej niezręcznej sytuacji, machnięciem ręki wskazując pokój.

– Witajcie w moim domu. Bardzo mi miło was gościć.

– Nie jesteśmy tu z wizytą – odparł Katulus.

– To oburzająca sprawa – dodał Hortensjusz.

– I oznacza wojnę – oświadczył Izaurykus. – Tak to trzeba nazwać.

– Cóż, przykro mi to słyszeć – odrzekł Cycero uprzejmie.

Nie zawsze traktował ich poważnie. Jak wielu bogatych ludzi najdrobniejszą trudność uznawali za oznakę końca świata.

Hortensjusz pstryknął palcami i jego służący podał Cycleronowi pismo z wielką pieczęcią.

– Wczoraj rada trybunów przesłała ten nakaz sądowy Rabiriuszowi.

Ten na dźwięk swojego imienia uniósł głowę.

– Mogę wrócić do domu? – zapytał płaczliwie.

– Później – odparł Hortensjusz surowo i starzec pochylił głowę.

– Nakaz sądowy? – powtórzył Cycero; spojrzał na niego z rozbawieniem. – A jakież to przestępstwo Rabiriusz mógł

popęłnić? – Przeczytał głośno treść dokumentu, żebym mógł ją zanotować. – *Oskarża się wyżej wymienionego o zamordowanie trybuna Lucjusza Saturninusa i wtargnięcie na święty teren senatu.* – Uniósł głowę ze zdziwieniem. – Saturninusa? Ależ on został zabity... ileż to...? Czterdzieści lat temu.

– Trzydzieści sześć – poprawił go Katulus.

– A Katulus dobrze wie – zauważył Izaurykus – bo był przy tym. Tak jak ja.

Katulus wypowiedział imię Saturninusa, jakby wypływał truciznę:

– Saturninus! Co to był za łotr! Zabicie go to żadne przestępstwo... tylko przysługa wyświadczona narodowi. – Zapatrzył się w dal, jakby miał przed oczami jakieś historyczne hasło na murze świątyni, *Zabójstwo Saturninusa w budynku senatu!* czy temu podobne. – Widzę go tak dobrze jak ciebie, Cynceronie. Siejący zamęt trybun z tych najgorszych. Zamordował naszego kandydata na konsula i senat uznał go za wroga publicznego. Wtedy nawet plebs się od niego odwrócił. Ale zanim go dopadliśmy, zabarykadował się ze swoją bandą na Kapitolu. Więc odcięliśmy mu wodę z akweduktu. To był twój pomysł, Watio.

– Owszem. – Oczy starego wodza zabłyśły na samo wspomnienie. – Już wtedy wiedziałem, jak się prowadzi oblężenie.

– Oczywiście poddali się po paru dniach i zostali umieszczeni w budynku senatu do czasu rozprawy. Ale baliśmy się, że znowu uciekną, więc weszliśmy na dach, zerwaliśmy dachówki i zasypaliśmy ich nimi. Nie mieli gdzie się skryć. Biegali tam i z powrotem jak szczury w rowie. Gdy Saturninusowi przeszły drgawki, z trudem można go było rozpoznać.

– I Rabiriusz był na dachu z wami dwoma? – zapytał Cyncero. Spojrzałem na starca znad notatek; miał tępy wyraz

twarzy, tylko głowa lekko mu się trzęsła, tak że trudno go było sobie wyobrazić biorącego udział w takiej akcji.

– O tak – potwierdził Izaurykus. – Musiało być nas tam ze trzydziestu. To były czasy – dodał, zwijając dłoń w pięść. – Mieliliśmy jeszcze krzepę!

– Nie o to chodzi – włączył się Hortensjusz ze znużeniem; był młodszy od towarzyszy i widocznie nudziło go słuchanie kolejny raz tej dawnej historii. – Nieważne, czy Rabiriusz tam był, czy nie. Nie o to się go oskarża.

– Więc o co? Nie o morderstwo?

– O *perduellio*.

Muszę przyznać, że nigdy wcześniej nie słyszałem tego słowa, i Cycero musiał mi je przeliterować.

– *Perduellio* – powtórzył i wyjaśnił: – Tak nasi przodkowie nazywali zdradę. – Zwrócił się do Hortensjusza: – Dlaczego odwołujemy się do takich przestarzałych praw? Nie wystarczy oskarżyć go o zwykłą zdradę i zamknąć sprawę?

– Nie, ponieważ karą za zwykłą zdradę jest wygnanie, a za *perduellio* śmierć, i to nie przez powieszenie. – Hortensjusz pochylił się, żeby podkreślić swoje słowa. – Jeśli uznają go za winnego, Rabiriusz zostanie ukrzyżowany.

– Gdzie ja jestem? – zapytał Rabiriusz, wstając. – Co to za miejsce?

Katulus łagodnie usadził go z powrotem.

– Spokojnie, Gajuszu. Jesteś wśród przyjaciół.

– Ale żaden sąd nie uzna go za winnego – zaprotestował Cycero spokojnie. – Ten biedny człowiek postradał już rozum.

– Spraw o *perduellio* nie rozpatruje zwykły trybunał. I tu tkwi haczyk. Tylko dwóch specjalnie powołanych sędziów.

– Powołanych przez kogo?

– Naszego nowego pretora miejskiego, Lentulusa Surę.

Cycero skrzywił się, słysząc to nazwisko. Sura był

ekskonsulem, człowiekiem o wielkich ambicjach, ale bezgranicznie głupim; te dwie cechy często występują razem w polityce.

– A kogo Stary Suseł wyznaczył na sędziów? Wiemy?

– Cezara. I Cezara.

– Co takiego?!

– Do rozpatrzenia tej sprawy zostali wyznaczeni Gajusz Juliusz Cezar i jego kuzyn Lucjusz.

– Stoi za tym Cezar?

– Wiadomo więc, jaki będzie werdykt.

– Ale pozostanie jeszcze apelacja – sprzeciwił się Cyncero, poważnie już zaniepokojony. – Obywatel rzymski nie może być skazany bez procesu.

– Owszem, może – odparł gorzko Hortensjusz. – Jeśli Rabiriusz zostanie uznany za winnego, oczywiście będzie miał prawo do apelacji. Ale tu też kryje się podstęp. Bo nie stanąłby przed sądem, lecz przed ludem zgromadzonym na Polu Marsowym.

– A to dopiero byłoby przedstawienie! – wtrącił Katulus. – Wyobrażasz sobie? Senator rzymski sądzony przez plebs w sprawie, w której karą jest śmierć? Na pewno by go nie uniewinnili... Mieliby stracić zabawę?

– Wybuchnie wojna domowa, bo do tego nie dopuścimy, Cynceronie – zauważył stanowczo Izaurykus. – Słyszysz?

– Słyszę – odparł mój pan, szybko przesuwając wzrokiem po tekście pisma. – Który z trybunów wniósł oskarżenie? Labienus? To jeden z ludzi Pompejusza. Nie jest wichrzycielem. O co mu chodzi?

– Podobno jego stryj zginął wraz z Saturninusem – wyjaśnił pogardliwie Hortensjusz – i ze względu na honor rodziny chce go pomścić. To bzdury. Cała sprawa stanowi tylko pretekst dla Cezara i jego bandy, żeby zaatakować senat.